

Artur Paczesny dla „Wyborczej”

NIE MAM
PARCIA
NA GŁÓWNE
ROLE

– Na koniec usłyszałem od gospodarza niesamowity komplement. Powiedział, że potrzebuje rąk do pracy i chętnie by mnie przyjął – Artur Paczesny opowiada o swojej roli w filmie „Tyle co nic”, za którą dostał nagrodę na festiwalu w Gdyni.

ROZMOWA Z
ARTUREM PACZESNYM
aktorem

DAWID DRÓŹDŹ: Lubi pan Zenka Martyniuka?

ARTUR PACZESNY: Absolutnie nie! Disco polo to gatunek muzyczny, który jest ode mnie odległy. Wręcz budzi rozdrażnienie. Ale szanuję wybór ludzi, którzy słuchają takiej muzyki. Moja mama uwielbia Zenka. Zabrałem ją do kina, gdy na ekrany wszedł o nim film.

Disco polo kojarzy się ze wsią. Istnieje przekonanie, że w mniejszych miejscowościach ta muzyka jest bardziej popularna. Nie wiem, czy to stereotyp, czy fakt. W każdym razie, to nie jest przypadek, że mój bohater nosi to samo nazwisko, co gwiazda disco polo.

Jak to się stało, że aktor – proszę wybaczyć – zupełnie anonimowy w polskim kinie dostaje od razu pierwszoplanową rolę?

– Właściwie to życie zatoczyło koło. Pierwszą dużą rolę w kinie dostałem kilka lat temu. Bartosz Kruhlík zaangażował mnie do roli w filmie „Supernova”, który był realizowany – tak jak „Tyle co nic” – w ramach programu „60 Minut” w Studiu Munka. Byłem na etapie zmian, po 13 latach odszedłem z Bałtyckiego Teatru Dramatycznego w Koszalinie. Rola w filmie Bartka utwierdziła mnie w przekonaniu, że idę w dobrym kierunku. Niestety nie dojechałem na plan zdjęciowy, bo uległem wypadkowi motocyklowemu.

To był ważny moment w moim życiu. Czas spędzony na rehabilitacji sprawił, że stałem się bardziej świadomy tego, co chcę robić. Zadałem sobie ważne pytania, które każdy powinien sobie od czas do czasu zadać. Warto zrobić sobie remanent życia i sprawdzić, czy rzeczy, za którymi gnamy, są tego warte.

Wtedy po raz pierwszy zamarzyłem o tym, żeby grać w filmach. Wcześniej ten świat wydawał mi się odle-

gły. Uwielbiałem kino, ale nie pozwalałem sobie na to, żeby o nim marzyć. Aktorzy grający w filmach wydawali mi się jacyś nadludzy, pomnikowi. W końcu kino samo do mnie przyszło. Nie zagrałem w filmie Bartka Kruhlíka, ale uświadomiłem sobie, że to nie jest tak odległe, jak mi się wcześniej wydawało.

Dałem sobie pięć lat na to, żeby dotrzeć do filmu. Zacząłem grać epizody w serialach. Nie przebierałem w ofertach, brałem wszystkie role, które mi proponowano, traktując to jako trening. Kamera wywoływała we mnie ogromny stres, musiałem się z nią oswoić.

O swoim postanowieniu przypomniałem sobie, jadąc w ubiegłym roku do Gdyni. Powiedziałem do mojej partnerki: „Dokładnie pięć lat temu postawiłem sobie cel, aby dotrzeć do filmu. A teraz jadę na festiwal do Gdyni”. Warto wiedzieć, czego się chce.

Pańskie postanowienie doprowadziło pana do roli w „Tyle co nic”, za którą dostał pan nagrodę w Gdyni. Wciela się pan w Jarosława Martyniuka, stojącego na czele buntu rolników, którzy sprzeciwiają się lokalnemu politykowi. To niezwykle realistyczny obraz polskiej wsi z historią kryminalną w tle. Jak pan dostał tę rolę?

– Zadzwoił do mnie reżyser Grzegorz Dębowski, powiedział, że chciałby mi wręczyć scenariusz. Przyjechał specjalnie do Opolą, dał mi tekst. Mieliśmy spotkać się na drugi dzień. Ale moja niecierpliwość wzięła górę, przeczytałem scenariusz jednym tchem. Zadzwoiłem do niego i zaproponowałem, żebyśmy spotkali się jeszcze tego samego dnia. Był późny wieczór, chodziliśmy po Opolu i rozmawialiśmy o filmie. Okazało się, że Grzegorz jeździł po teatrach w Polsce w poszukiwaniu aktorów i zobaczył we mnie Jarka, bohatera swojego scenariusza.

Grzegorz zapytał mnie, która postać ze scenariusza jest mi bliska. Nie mam parcia na główne role, cieszę się nawet z epizodów, ale tu było ina-



czej. Czytając scenariusz, mocno przeżywałem postać Jarosława Martyniuka. Grzegorz też widział mnie w tej roli. To duży akt odwagi z jego strony. Rzadko zdarza się, aby ktoś, kto jest dla kina zupełnie nieznany, dostał tak odpowiedzialne zadanie, jak główna rola.

Co pana ujęło w tym scenariuszu?

– Miałem poczucie, że to świetnie skomponowana historia. Dialogi brzmiały naturalnie, nic mi tam nie zgrzytało. Sama opowieść mnie wciągnęła. Każdą przeczytaną scenę przeżyłem emocjonalnie. Wewnętrznie poczułem postać Jarka. Towarzyszyło mi jakieś dziwne rozwibrowanie. Nie ma pomiędzy mną i tą postacią podobieństw, ale jej rozterki we mnie wybrzmiały.

Niektóre wydarzenia z „Tyle co nic” przypominają do złudzenia to, co widzimy w ostatnich tygodniach w serwisach informacyjnych. W jednej z pierwszych scen rolnicy – w geście protestu – wywalają na podwórku polityka kupę gnoju.

– To niesamowite, że sztuka czasem wyprzedza rzeczywistość. Kręcąc film, nie przypuszczaliśmy, że protesty rolników mogą przybrać taką skalę. Myślę, że mój bohater byłby dziś na bary-

kadach i pełniłby w tej rewolucji znaczącą funkcję.

Jarek Martyniuk jest idealistą. Mamy poczucie, że to dobry człowiek. Wierzy, że może naprawić świat, będąc szczerym w działaniu na rzecz społeczności. Ale bunt rolników to tylko punkt wyjścia w tej historii. Bohater wierzy w jakąś wizję przyszłości, ale świat się zmienia, wieś się wydłudnia, młodzi wyjeżdżają do miasta. Każda zmiana wzbudza lęk. Wszystko zależy od tego, czy pójdziemy za tymi zmianami, czy ustawimy się do nich w kontrze.

Jarosław przywołuje na myśl sztandarowe postacie dla polskiej wsi: Andrzeja Leppera, Michała Kołodziejczaka. Nazwisko obecnego wiceministra rolnictwa pojawia się nawet w podziękowaniach w napisach końcowych.

– Wiem, że Grzegorz Dębowski spotkał się kilkukrotnie z Michałem Kołodziejczakiem. Dał mu nawet scenariusz do przeczytania. Ale nie chcieliśmy robić filmu o Kołodziejczaku ani stawiać tej postaci jako wzorca dla głównego bohatera.

Osobiście nie spotykałem się z politykami ani działaczami. Moje przygotowania polegały na zapoznaniu się z codziennym życiem rolnika. Grzegorz Dębowski i kierowniczka produkcji Agnieszka Skalska zjeździli całą Warmię i Mazury w poszukiwaniu odpowiednich lokacji. Wynajęliśmy gospodarstwo we wsi Godki. Właściciele mają 60 krów i kawałek ziemi.

Przed rozpoczęciem zdjęć pojechaliśmy na tę wieś. Przygotowywałem się od strony praktycznej. Myślałem, że będę przyglądał się pracy w gospodarstwie z boku, ale zostałem wrzucony na głęboką wodę. Syn gospodarza nadzorował mnie i mówił, co mam robić. Pierwszego dnia przewiozłem taczka tonę paszy, sprzątałem oborę, doilem krowy. Uczyłem się obsługi ma-

„Tyle co nic”

• Polski film w reżyserii Grzegorza Dębowskiego. Bohaterem jest Jarek (Artur Paczesny), rolnik z krwi i kości, który zostaje liderem protestu i organizuje pikietę pod domem lokalnego polityka. We wsi zostają odnalezione zwłoki jednego z mieszkańców. Jarek znajduje się w samym środku mrocznej intrygi. „Tyle co nic” było rewelacją ubiegłorocznego festiwalu w Gdyni, film zdobył aż 5 nagród – za najlepszy debiut lub drugi film, scenariusz, pierwszoplanową rolę męską (Artur Paczesny), drugoplanową rolę kobiecą (Agnieszka Kwieńniewska), a także Złotego Pazura. „Tyle co nic” będzie do obejrzenia w kinach od piątku, 8 marca.



• Artur Paczesny jako Jarek w filmie „Tyle co nic”

FOT. FORUM FILM

szyn rolniczych, jeździłem ładowarką, zwoziłem baloty z pola, obsługiwałem mieszkarkę do pasz.

Coś pana zaskoczyło na wsi?

– Zrozumiałem, że praca rolnika wiąże się z ogromnym oddaniem ziemi. Nasz gospodarz powiedział, że poprzedniego lata pierwszy raz w życiu poleciał z żoną na dłuższe wakacje zagraniczne. Bo przez ponad 20 lat, dopóki synowie nie dorośli, nie mieli takiej możliwości. Zawsze ktoś musiał opiekować się gospodarstwem. Czas na wsi dobrze mi zrobił. Grając w teatrze, czasem można odciąć się od rzeczywistości. Praca w gospodar-

Artur Paczesny

• Urodzony w 1978 r. w Pile. Absolwent Wydziału Lalkarskiego Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie (wydział zamiejscowy we Wrocławiu). W latach 2005-18 aktor Bałtyckiego Teatru Dramatycznego w Koszalinie. Od 2020 r. związany z Teatrem im. Jana Kochanowskiego w Opolu. Grywał epizodyczne role w serialach – m.in. w „Fali zbrodni”, „Świecie według Kiepskich”, „O mnie się nie martw”, „Koronie królów”, „Informacji zwrotnej” czy „Wyrwie”. Laureat nagrody za najlepszą pierwszoplanową rolę męską na festiwalu w Gdyni.

*Kiedyś całym moim
życiem był teatr.
W pewnym momencie
zrozumiałem, że żeby
robić coś lepiej, potrzebuję
złapać dystans*

stwie sprowadza człowieka na ziemię. Zacząłem doceniać proste wartości.

Na koniec usłyszałem od gospodarza niesamowity komplement. Powiedział, że potrzebuje rąk do pracy i chętnie by mnie przyjął – oferuje 5-6 tys. miesięcznie, dodatkowo pokój i jeden ciepły posiłek dziennie. Stwierdziłem, że jak będę chciał odpocząć od teatru, to być może skorzystam.

Czas spędzony w gospodarstwie pozwolił panu lepiej wejść w rolę?

– Pewnego razu w czasie kręcenia zdjęć zostawiłem w domu naszych gospodarzy kubek do yerba mate. Późnym wieczorem wróciłem do Godek, żeby wziąć ten kubek. Było ciemno, paliło się światło w oborze. Gospodyni zaprosiła mnie do kuchni. Poczułem się, jakbym po całym dniu pracy wrócił do siebie, do domu. I tak byłem traktowany. Czulem się w tej przestrzeni bardziej naturalnie. Myślę, że widz odczuwa takie rzeczy.

W polskim kinie wieś jest często przedstawiana stereotypowo. Wam udało się ten świat pokazać wiarygodnie – bez koloryzowania, ale też bez demonizowania.

– Reżyser jeździł po mniejszych miejscowościach, rozmawiał z ludźmi o ich problemach. W scenariuszu znalazło się dużo kwestii przez niego zasłyszanych. Grzegorz podchodzi do ludzi z dużą życzliwością, nie ocenia ich, nie stara się diagnozować. Wchodzi z kamerą i przygląda się światu.

Ludzie na wsi są tacy sami jak ludzie w mieście; mają podobne rozterki i problemy, tylko żyją w nieco innych okolicznościach. Jeśli założyłbym, że muszę zachowywać się w określony sposób tylko dlatego, że gram człowieka ze wsi, to z góry byłbym skazany na porażkę.

Nie chcę generalizować, ale nadal funkcjonuje wiele stereotypów o wsi.

W kinie prowincja jest albo sielska, przesłodzona, albo patologiczna. Cieszę się, że udało nam się pokazać ten świat wiarygodnie. Stworzyliśmy uniwersalną opowieść o ludziach.

Pana życie zmieniło się po zdobyciu nagrody w Gdyni?

– Nagroda w Gdyni otwiera niektóre, zamknięte dotąd drzwi. Pojawiły się projekty. To nie są wielkie role, ale zagrałem np. epizod w serialu „Heweliusz” Jana Holoubka. Nie jest tak, że telefon dzwoni non stop.

A planuje pan kolejne wyprawy górskie? Wszedłem na pana konto na YouTube i ku mojemu zaskoczeniu zobaczyłem nagrania z wypraw na Ararat, Matterhorn czy Mont Blanc.

– Góry to mój alternatywny świat. Kiedyś całym moim życiem był teatr. W pewnym momencie zrozumiałem, że żeby robić coś lepiej, potrzebuję złapać dystans. Góry towarzyszyły mi od wczesnych lat szkolnych. To świat, w którym ładuję akumulatory i pracuję nad swoimi słabościami.

Mam na koncie kilkanaście czterotysięczników i kilka pięcioletnich. Ale zrozumiałem, że nie chodzi o liczby. Góry kształtują mój charakter. Być może dlatego ciągnie mnie do wyższych gór, w których mogę stanąć oko w oko ze swoimi słabościami. W takich okolicznościach można się wiele o sobie dowiedzieć.

Będąc w górach, zdarza mi się rozmyślać o swoich rolach. Moja głowa cały czas pracuje. Kiedyś nawet powiedziałem, że zabieram swojego bohatera w góry. Będąc wysoko, czuję, że nie mam ścian wokół głowy, moje myśli mogą się rozlać, nic mnie nie ogranicza.

Pociąga pana ryzyko?

– Nie nazwałbym tego w ten sposób. To brzmi narkotycznie. Adrenalina sama w sobie mnie nie pociąga. Bardziej pociąga mnie przełamywanie strachu, działanie wbrew trudnościom. Zdarzało się, że wisiałem na pionowej skale po ośmiu godzinach wspinaczki przy minus 15 stopniach. Pod nogami miałem czarną otchłań. Zastanawiałem się: „Co ja tu robię?”. Po powrocie, problemy stają się takie małe. Wszystko wydaje się do ogarnięcia. Zawsze jest sposób na wyjście nawet z najtrudniejszej sytuacji. ●